

Henryka Wojciechowska

Urząd Do Sprawombatantów
i Osób Represjonowanych
Warszawa, 14.10.2017r.
NIEKORUPCYJNY

2017 -10- 20

Do Powstania przystąpiłam w dniu 4 sierpnia 1944 roku. Byłam łączniczką. Nazwy oddziału nie pamiętam, wiem, że mieścił się na ul. Sienkiewicza 4, a dowódcą był generał "Skala".

Do oddziału wprowadził mnie i moją koleżankę Genowefę Kwiatkowską, kolega z oddziału Waldek Mdzewski i jego brat Jerzy, z którym pracowałam w Gazowni Miejskiej na ul. Kredytowej 3. Ci koledzy poprosili nas, żebyśmy zastąpiły koleżanki, które nie dostały się na punkt zbiorczy (powiedział – „ufam, że się dobrze wywiążecie z zadania”). Złożyłyśmy przysięgę i otrzymałyśmy legitymacje. Dostałam pseudonim „Czarnulka” i tak zaczęłam swoją działalność w oddziale. Polegała ona na roznoszeniu korespondencji (pod ostrzałem kul wroga) do różnych placówek i miejsc na terenie Śródmieścia.

Moim pierwszym, bardzo niebezpiecznym zadaniem było dotarcie do oddziału walczących w obronie Poczty Dworcowej przy ul. Towarowej. Miałam doręczyć meldunek kapitanowi „Gerardowi”. Dotarcie tam było bardzo ciężkie. Przechodząc ul. Chmielną musiałam kryć się przed niemieckimi samolotami, które latały niemal nad głowami i bombardowały Warszawę. Chowałam się w stajniach, gdzie były głodne i przerażone konie, niektóre były martwe. Na rogu ulic Chmielnej i Żelaznej, gdzie dostałam się z trudem i gdzie stacjonował oddział, dowiedziałam się, że kapitan jest na linii frontu na Poczcie Dworcowej. Stałam zastanawiając się co robić w tej sytuacji, kiedy nagle wyrósł przede mną żołnierz w niemieckim mundurze. Zamarłam, a on się roześmiał i dopiero wtedy zauważyłam biało – czerwoną opaskę na jego rękawie. Powiedział mi jak się dostać na Poczcie. Ulica Towarowa była wąska i pod ostrzałem ale udało mi się dotrzeć na miejsce. Tam powiedziano mi, że sama nie mogę iść na linię frontu, dlatego meldunek przekazałam koledze z warty, a ten oddał go kapitanowi. Kiedy wrócił oznajmił mi, że nie mogę wracać sama. Dostałam więc kolegę, który mnie asekurował w drodze powrotnej. To był mój chrzest bojowy. Wieczorem żołnierze wrócili z linii frontu, którą musieli opuścić.

Roznosząc rozkazy byłam wysyłana w różne okolice Śródmieścia, często podczas bombardowań i ostrzału.

Dobrze pamiętam jak brałyśmy udział w ratowaniu rannych na ul. Jasnej po zbombardowaniu Filharmonii i pobliskich domów. Wtedy do jednej z bram wpadła bomba zapalająca i zginęły dwie siostry naszego kolegi. To był straszny widok.

W ostatnim dniu Powstania, pod wieczór dostałam zadanie dotarcia w Aleje Jerozolimskie, róg Żelaznej. Wtedy byliśmy już z drugiej strony Alej, na ul. Kruczej wśród gruzów, bo ul. Sienkiewicza była już zbombardowana. Z rozkazem doszłam do tunelu pod ul. Marszałkowską, a dalej szłam piwnicami i podwórkami. Do celu dotarłam przy pomocy napotkanych ludzi i kolegów partyzantów, którzy wskazywali mi drogę.

Zawsze przed wyjściem na akcję otrzymywałam hasło i odzew, a kiedy zbliżałam się do wyznaczonego miejsca, już z odległości pytano o hasło.

Zadania były i łatwe i trudne. Wszystkie wykonywałam sumiennie i mimo zagrożenia życia starałam się myśleć o tym, żeby powstanie skończyło się dla nas pomyślnie, a nie o tym, że mogę zginąć. Za sumienne wykonywanie przydzielonych mi zadań dostałam od dowódcy odznaczenie, które potem musiałam wyrzucić razem z legitymacją w obawie przed niemieckimi żandarmami, jadąc pociągiem do Pruszkowa.

Warszawę opuściłam 4 października 1944 roku. Wyprowadzono nas ulicą Śniadeckich na Dworzec Zachodni, gdzie tłumy ludzi czekały na wywiezienie do obozu w Pruszkowie. Ja z koleżankami i kolegami z Powstania przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce, żeby zmylić żandarmów, zastanawiając się co dalej robić, jak się ratować. To trwało całą noc, do rana. Rano zauważyliśmy, że Niemcy prowadzą ludzi z innego peronu i dowiedzieliśmy się, że to mieszkańcy Pruszkowa przywiezieni do rozbiórki barykad. Powiedzieli nam, żebyśmy poczekali do wieczora, że będą wracać i nam pomogą. Czekaliśmy cały dzień krążąc pomiędzy rojącym się tłumem płaczących i nawołujących się ludzi. Wreszcie wrócili nasi wybawcy, nie znaleźliśmy ich, a oni nam pomogli dostać się do pociągu wracającego do Pruszkowa. Nie znam nazwisk, ani imion ludzi, którzy być może uratowali nam życie, w wagonach już nikt o to nie pytał. Pociąg odjechał z nami. Na dworcu we Włochach wagony stały, żeby przepuścić wojsko idące w stronę frontu. Wtedy do wagonów weszli żandarmi. Staraliśmy zachowywać się spokojnie. Kiedy jeden z nich podszedł w naszą stronę zauważył leżące koło mnie palto, które dostałam od kolegi. Zapytał „czyje to?“, a ja od razu przyznałam się, że moje, żeby nie zaczął legitymować wszystkich. Kiedy dowiedział się, że jestem z Warszawy, powiedział, że jestem „bandyta” i kazał mi wysiąść z wagonu. Chyba był Ślązakiem, mówił po polsku. Zabrał mnie na stację gdzie był już starszy mężczyzna. Płakałam i prosiłam, żeby mnie puścił, wtedy ten starszy człowiek, nie znając mnie, powiedział do żandarma, że da mu pieniądze, które ma, jak ten nas puści. Pociąg wciąż stał na stacji. Wtedy żandarm zdecydował, że pójdziemy do restauracji pod peronem i się napijemy. Zaczęłam płakać i mówić, że ja wódki nie piję. Wtedy zapytał ile mam lat. Powiedziałam, że osiemnaście, na co on spytał, gdzie chcę pójść. Powiedziałam, że pociąg jeszcze stoi i pojedę nim do Pruszkowa, do rodziny. „no to uciekaj, dzieciaku” powiedział, a ja pognałam w stronę pociągu. Koledzy wciągnęli mnie do wagonu. Pociąg jakby na mnie czekał, zagwizdał i ruszył. Wtedy pozbyłam się legitymacji. W ten sposób nie dostałam się do obozu w Pruszkowie. Dla mnie to był cud.

Moich zeznań nikt obecnie nie może potwierdzić, bo wszystkie koleżanki i koledzy z Powstania nie żyją. Na potwierdzenie niech wystarczy moje powstańcze hasło: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Moje wspomnienia z Powstania Warszawskiego są nagrane na taśmę i obecnie znajdują się w Muzeum Powstania Warszawskiego, w dziale rozmów.

H Wojciechowska